NR. 14 NIEDZIELA, 11 PAŹDZIERNIKA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL dzieci

Pod redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



Świat jest ogromny

Dookoła naszego miasta są inne miasta i wsie, dookoła naszego kraju są inne kraje. A wszędzie mieszkają ludzie, mnóstwo ludzi. I wszyscy ci ludzie są naszymi braćmi, choć dzielą nas od nich rogatki, granice, góry, pustynie i morza.

Bratem naszym jest każdy człowiek, który pracuje, choćby był innej rasy, innej narodowości, innej wiary niż my.

Wspólny trud najbardziej łączy ludzi.

I wy, czytelnicy „Przyjaciela Dzieci", należycie do tego świata pracy. Pielęgnujcie więc już dziś w sercach waszych miłość nietylko dla rodziców i rodzeństwa, nie tylko dla bliskich wam, ale i dla dalekich, nieznajomych ludzi.

Każdy bowiem człowiek, pracując pilnie i uczciwie w swem mieście, w swej wsi, w swoim kraju — pracuje jednocześnie dla szczęścia i dobrobytu nas wszystkich, na całym świecie który jest tak ogromny.

Wszędzie twój brat

Pomyśl, jak wiele pracy jest na świecie
i jak wielki ten świat!
A wszystką pracę, na każdym skrawku
ziemi
rękami swemi
odrabia obcy człowiek — twój brat.
Tak oto w krajach, gdzie słońce żywym
ogniem pali,
na plantacjach bawełny, czy kawy,
trudów nadmiernych nie mogą znieść
„biali",
więc za marną zapłatę,
za nędzny kęs strawy
Murzyn swój czarny grzbiet zgina,
a nad nim, gdy ustanie z wysiłku,
dozorcy ostry świszcze bat!
...Ten murzyn — to jest twój brat.
A zaś na drugim krańcu świata,
Wśród lodów i śniegowych pustaci,
ciemny i zabobonny Eskimos,
co kupców w futra bogaci,
a sam przymiera głodem
w straszliwą noc podbiegunową,
we wnętrzu cuchnących śniegowych chat
— ten Eskimos — to także twój brat.
I bratem twoim jes również
mieszkaniec Skalistych Gór,
który wiedzie tam żywot górniczy
i, kopiąc rudę z narażeniem życia,
lat swych, spędzonych pod ziemią, nie
liczy.
I bratem twoim jest każdy robotnik,
któremu przy maszynie
na ciężkiej, jednostajnej pracy
dzień za dniem płynie.
Chociażby innym mówił, niż ty, języ-
kiem,
choćby na inny sposób, niż ty, czcił Boga
chociażby inna, niźli tobie, Ojczyzna
była mu droga —
— On jest twój brat,
jak braćmi są sobie wszyscy ludzie,
którzy ten świat
dźwigają pracą swą i w trudzie
nowy budują ład.
I wiedz, że sen o szczęściu ludzkości
(ten cud największy z cudów)
może się jawą stać
tylko w braterskiej miłości ludów.

Żar.

Zwycięski sztandar

Ojciec Piotrusia wyemigrował z Polski za robotą do Francji. Dostał tam zajęcie w porcie przy budowie handlowych okrętów. Nie zarabiał jednak dużo.

Pomagała mu żona tem, że kupowała od rybaków krewetki, małe przezroczyste, bardzo smaczne raczki morskie i, na ręcznym wózku rozwoziła je po ulicach miasta.

Kupujących zawsze znalazło się sporo, ale trzeba było dobrze się nachodzić w skwarze dnia z ciężkim wózkiem, nim się rozsprzedało towar do ostatka.

Piotruś w tych wędrówkach towarzyszył mamie. On to robił zgrabnie torebki z papieru do zapakowania odważonych krewetek, on aż do ochrypnięcia wołał z polska po francusku:

— Świeże krewetki! Świeże krewetki!

Tak, w powszedni dzień Piotruś pracował jak dorośli. Ale za to, kiedy przyszła niedziela, oho! to było prawdziwe święto dla chłopaka: biegł nad morze!

Już tam wielu chłopców i sporo dziewcząt uganiało się z krzykiem i śmiechem po zmytym falami piasku, błyszczącym od muszel, po skałach oblepionych smacznemi ostrygami, a pełnych kryjówek, zaludnionych srebrzystemi rybkami i dziwacznemi krabami, rakami podobnymi do olbrzymich, potwornych pająków morskich.

Różne to były dzieci, jak zwyczajnie, w dużem nadmorskiem mieście, gdzie żyją i pracują ludzie z całego świata. Oczywiście, najwięcej było małych Francuzów, ale nie brakowało ani czarniawych, krzykliwych Włochów i Hiszpanów, ani silnych, szorstkich Niemców, ba! był nawet mały murzyn i dwoje skośnookich Japończyków.

Cóż może być ciekawszą, wspanialszą zabawą nad morzem, jak nie budowanie domów, zamków, fortec i wież z piasku.

Wszystkie dzieci tamtejsze i nasz Piotruś także, z radosnym trudem wznosili na brzegu swoje pyszne budowle. Każdy na szczycie ukończonej przez siebie budowli zatykał dumnie sztandar swego kraju — papierową chorągiewkę o znajomych barwach: francuziki niebiesko - biało - czerwone, hiszpanie — żółto-czerwone, włosi — zielono - biało - czerwone, Piotruś — biało - czerwoną, a jeszcze inni — inne.

Ale oto o oznaczonej porze przychodził przypływ. Fale morskie rosły w oczach i jedna za drugą, z szumem, z łoskotem waliły się na brzeg, zmywając i rozwalając wszystko, co napotykały na swej drodze.

Zaczynała się walka:

Mali ludzie zgrzani, obryzgani pianą, rzucali się na wszystkie strony z łopatkami w rękach i umacniali na gwałt swoje pozycje.

A morze, co cofnęło się trochę od brzegu, to wracało natychmiast z jeszcze większym rozmachem i biło w piaskowe mury dziecinnych twierdz i szarpało słonemi jęzorami piaskowe ściany i podmywało piaskowe fundamenty! aż zwaliło, rozkruszyło, rozmyło i zniosło bez śladu jedną twierdzę po drugiej...

W mętnej, zielonej, morskiej wodzie, niby kolorowe meduzy, pływały żałośnie zwalone, pokonane sztandary francuskie, włoskie, hiszpańskie, niemieckie, japońskie...

Zwycięskie morze szumiało hucznie na zdobytem miejscu, a zwyciężone dzieci cofały się w milczeniu.

Aż oto raz stało się coś dziwnego, niesłychanego dotąd. Mały Piotruś, syn polskiego emigranta, robotnika z portu, skrzyknął wszystkich chłopaków i wszystkie dziewczęta na plaży.

Jak mógł, a najwięcej na migi, tłomaczył swoim cudzoziemskim towarzyszom:

— Weźmy się razem. Zbudujmy wspólnemi siłami jedną wielką, mocną twierdzę. Tak wielką i mocną, jak tylko wszyscy razem potrafimy. Nie zmyje jej morze! Nuże! Hurra!

Rzucili się wszyscy za Piotrusiem. Żółci japończycy, czarny murzynek, wesołe francuziki, włoch, hiszpan, niemczyk!... wszyscy, ilu tch tam było.

Migają pracowite ręce, łomocą łopatki, chrzęści wilgotny piasek i rośnie, rośnie, rośnie wspaniała, mocna, ogromna budowla, dźwigana wspólnemi siłami wszystkich dzieci.

Skończona! Hurra!!!

Teraz uwieńczyć ją trzeba sztandarem

Jednym? Nie! Wszystkiemi sztandarami, złączonemi w jeden barwny pęk. Hurra!

...A oto zaczyna się przypływ. Morze staje do walki z małymi ludźmi i ich dziełem.

Nic to!

Dziś morze będzie zwyciężone. Dziś morze musi ustąpić.

...I morze po kilku bezskutecznych natarciach ustępuje.

Na wilgotnym brzegu morskim sterczy dumnie niezdobyta piaskowa twierdza, a na jej szczycie wszystkie wspólnie zatknięte różnobarwne chorągiewki zlewają się w purpurowym blasku zachodzącego słońca w jeden czerwony sztandar.

Es.

Jak żyją wasi rówieśnicy na dalekim świecie...

O dzieciach z Andaluzji

(Tłomaczyła z „Kinderland" J. B.).

Andaluzja jest prowincją Hiszpanji i leży na południu. Tylko morze dzieli ją od Afryki.

Możecie więc sobie wyobrazić, jak bardzo tam jest gorąco. W lecie panują tak wielkie upały, że w ogrodach i na polu wszystko żółknie i usycha. Za to jednak dojrzewają tam pomarańcze, winogrona i bawełna ,rosną drzewa korkowe i palmy.

Dzieci nie mogą tam, jak u nas, szukać chłodu w zielonym, pachnącym lesie, tylko muszą siedzieć w domu i czekać, póki słońce się nie skryje. Wówczas dopiero mogą swobodnie odetchnąć zwierzęta i rośliny, wówczas dopiero może człowiek opuścić mury i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Dzieci andaluzyjskie nie znają śnieżnej zimy, ślizgawki, lepienia bałwanów, ciskania kulami śnieżnemi. I kiedy my tu owinięci w szale, w wełnianych czapkach i pończoszkach śpieszymy wśród wesoło wirujących płatków śniegu do szkoły — tam kwitną róże. Oczywiście i tam jest chłodniej w okresie zimowym, ale nie wiele, bo dzieci nie marzną nawet w lekkich, jasnych sukienkach. Tylko w domach jest wówczas zimno. Słońce bowiem nie jest tak silne, by ogrzać grube mury, a pieców nigdzie niema. Wieczorem więc siada się wokoło metalowego rondla, pełnego żarzących się węgli i grzeje się nigi. W grudniu i styczniu bawią się dzieci najchętniej na dworze — o ile deszcz nie pada. Jest to bowiem pora deszczów, pora, w której ziemia odświeża się i krzepi na długie lata.

W mieście Sewilli są ładne parki, w nich fontanny, białe górskie pawie, palmy i róże. Dzieci mogą tam spacerować, ale nie bawić się, albowiem nie ma tam odpowiednich miejsc do zabawy.

Przeważnie zresztą, wychodzą dzieci dopiero wieczorem na ulicę. Wówczas przeciągają ulicami grajkowie, a małe andaluzyjskie dziewczątka tańczą narodowe tańce, lub inne, co kto woli. Dzieci hiszpańskie bowiem mają wielkie zdolności do tańców. Tańczą bardzo pięknie, a niewiadomo kto i kiedy je wyuczył. Nauczyły się, poprostu, przyglądając się dorosłym. Podobnie ma się rzecz ze śpiewem. Dzieci w wieku od 4 — 6 lat śpiewają pewnie i poprawnie każdą melodję, którą raz jeden słyszały. A w stawianiu pytań i dawaniu odpowiedzi wykazuje ich mały języczek również sprawność niebylejaką.

Gorzej ma się rzecz z innemi wiadomościami. Dzieci w Andaluzji nie muszą chodzić do szkoły. Połowa ludności w Hiszpanji nie umie ani czytać, ani pisać, nawet podpisać się nie umie. Wiadomości te nie są potrzebne hiszpańskim chłopcom do poganiania osłów, czyszczenia butów, dźwigania kufrów lub sprzedawania owoców i gazet.

Ulubioną zabawą chłopców jest walka byków. Jeden z chłopców bierze rogi zabitego byka, drugi czerwoną chustkę —

i tak ruszają na siebie. Inni zaś walczących drażnią lancami i nawoływaniami.

Do ulubionych zabaw należy również gra w piłkę nożną i zabawa w zbójców. Chłopcy, którzy muszą zarobkować, przebiegają w tym czasie ulice, dźwigając plik gazet i wykrzykując ostatnie wiadomości.



Inni sprzedają ryby, raki, obwarzanki i głośno wychwalają swój towar.

Są wśród nich tacy, którzy nie mają swego kąta i śpią w zagłębieniach murów, za kupą węgla lub w otwartych sieniach, póki ich słońce nie obudzi.

— — — — — — —

Tak było dotąd w monarchji Hiszpańskiej, kraju zacofania i ciemnoty. Ale oto powstał lud hiszpański, zrzucił z tronu i wypędził króla i jego zauszników, i w Hiszpanji ogłosił Republikę Robotniczą, której władza pochodzi od ludu.

Teraz więc i dola dzieci w Hiszpanji zmieni się napewno. Dzieci będą miały gdzie spać i będą syte. Nie będą biegać całemi dniami po ulicach z gazetami lub obwarzankami, ale będą się uczyć.

Lud hiszpański walcząc przeciw wyzyskowi jednych przez drugich, przeciw bezrobociu, krzywdzie i niesprawiedliwości, pomyśli o tem, by dzieci mogły wyróść na silnych, zdrowych, wolnych ludzi, dzielnych obywateli Republiki Robotniczej.

Czego się Ryś dowiedział

Ryś usłyszał opowiadanie o koszulach, które rosną na polu.

To nie były właściwie koszule, a zieloniutkie roślinki z niebieskiemi kwiatuszkami — len. Z tego lnu, który ma w łodygach mocne włókna, robi się nici, z nich przędzie płótno, a dopiero z niego matka szyje koszule.

— Czy to tak wszystko rośnie w polu? — pyta Ryś. — I moja czapka i ubranie, i pończochy i buty?

— No, wszystko, to znów nie. Buty przecież robi się ze skóry.

— A prawda. Ale ubranie chyba rośnie na polu.

— Albo się na niem pasie...

— Pasie?

— Ano tak: bo ubranie robi się z wełny lub z bawełny. Wełnę dają owce, które się strzyże.

— A bawełny nie można strzyc?

— Nie, bo to roślina. Nie rośnie ona u nas i hodowana jest w cieplejszych krajach, niż Polska. Ogromne jej plantacje znajdują się w Ameryce. Są to krzewy, które po okwitnieniu usiane są wielkiemi pąkami puchu, otulającego nasionka. Ludzie, zatrudnieni na plantacjach pod upalnemi promieniami słońca, zbierają owe

kłębki, a te poddaje się czyszczeniu i wyrabia się z nich nici bawełniane.

Dopiero z tych nici, już i u nas, przędzie się tkaniny na ubrania.

— Krawiec potnie, skroi, uszyje mi ubranie — i już!

— To wydaje Ci się, że to tak prędko kłębki roślinnego puchu, zbierane hen, w dalekim kraju — zamieniają się w ubranie? Zamiana tego puchu na ubranie posiada w sobie wiele pracy i to pracy bardzo uciążliwej.

Ileż potu wylać musi robotnik na plantacji bawełny, źle odżywiany i wyzyskiwany; ile się natrudzi robotników w wielkich fabrykach, by wytworzyć nici, a z tych nici tkaniny!

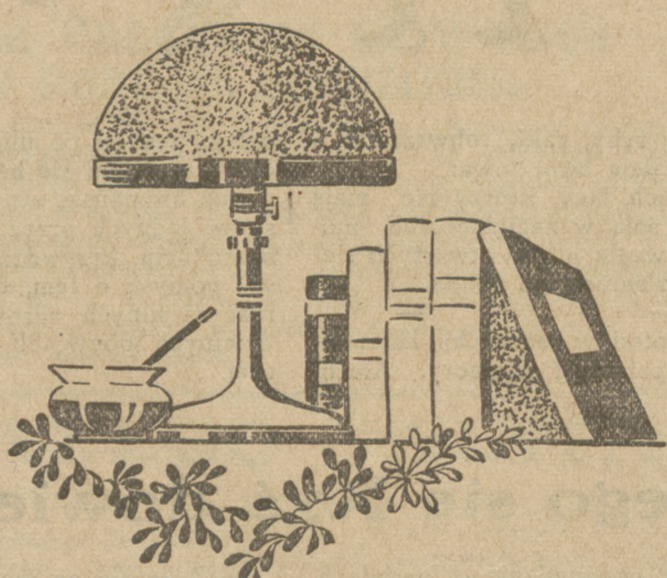
W Polsce jest jedno miasto, osnute ustawicznie kłębami dymu, płynącego z wysokch fabrycznych kominów. To Łódź, gdzie skupiło się najwięcej fabryk, które przerabiają bawełnę na najrozmaitsze tkaniny bawełniane. Popatrz kiedy, jak wychodzą robotnicy z gardzieli bram: zmęczeni, przygarbieni, ze zwieszonemi głowami.

Przyjrzyj się też krawcowi, o którego pracy powiedziałeś dwa krótkie słowa: skroi, uszyje.

Kroju musiał się uczyć, przez parę lat być uczniem, zanim mu pozwolili igłę wziąć do ręki czy zasiąść przy maszynie do szycia. Godziny całe ślęczy pochylony nad materjałem, tracąc oczy przy wpatrywaniu się w różne kolory, niszcząc zdrowie w przygniecionych zgarbieniem płucach.

Koszule i ubranie nie rosną: tworzy je żmudna praca wielu robotników.

Mr



Oto prawdziwi bohaterowie

W Warszawie, dnia 23 września w dyrekcji wodociągów i kanalizacji odbyło się uroczyste udekorowanie pracowników dyrekcji, którzy w marcu r. z. ratowali zatrutych robotników w kanale przy ul. Wolskiej w związku z pęknięciem zbiornika z kwasem siarczanym w gazowni miejskiej.

Odznaczenia 14 pracowników 1-go technika, 1 nadzorcy i 12 robotników, srebrnym medalem „Za ratowanie ginących" dokonał, w imieniu p. ministra spraw wewnętrznych, starosta grodzki śródmiejsko - warszawski, p. Miklaszewski, w obecności prezydenta miasta, wiceprezydenta prof. Błędowskiego i innych.

Tak uczczono prawdziwych bohaterów, którzy nie wahali się dla ratowania towarzyszy narazić własnego życia.

ZEGAR

(Z cyklu „Dusza rzeczy").

— Tak, tak, tak to tak — mówił duży Zegar ścienny i swemi nóżkami - wskazówkami, jedną dłuższą, drugą krótszą Biegł ciągle wkółko po białej tarczy przez czarne znaczki, które były wymalowane na niej. Ciągle wkłko, ciągle wkółko. Bezustannie i oddawna, odkąd tu wisiał na ścianie w pokoju.

Mała Elżunia podnosiła nieraz główkę w górę ku Zegarowi i spoglądała na niego. Dziwiła się, że Zegar może tak biegać ciągle dookoła, tak ciągle i ciągle, bez odpoczynku.

Elżunia nie mogła. Jak bardzo była nieraz zmęczona, gdy poszła na spacer z mamusią i z tatusiem i jak smacznie spała potem w nocy w swojem łużeczku. Zegar nigdy jeszcze nie spał. O tem wiedziała.

— Tak, tak, tak to tak.

Ale oto pewnego dnia babunieczka siedziała z Elżunią w pokoju, kiedy właśnie Zegar zaczął wydzwaniać swym pięknym głosem: buom, buom, buom.

— A czy wiesz, Elżuniu, co mówi do ciebie Zegar? — spytała babunieczka.

Elżunia pokręciła główką przecząco.

— Elżuniu, powiada Zegar, wybiłem trzy razy, a więc jest trzecia godzina. Czas nakrywać do stołu. Niedługo już przyjdą braciszkowie ze szkoły i tatuś od swej pracy, a ty wiesz, że są bardzo głodni o tej porze.

Elżunia roześmiała się wesoło i klasnęła w rączki:

— Doprawdy, babunieczko? Zegar to powiedział? A co on jeszcze mówi?

— Opowiem ci to potem. Nakryj tymczasem stół.

A gdy Elżunia zgrabnie i prędziutko to zrobiła, babunieczka ciągnęła dalej:

— Rano, raniutko, gdy ty śpisz jeszcze, Zegar woła do Kostka i Stasia: „Hej, zuchy, wyskakujcie prędko z pod kołdry, czas wstawać, bo moglibyście się spóźnić do szkoły. A gdy kto się rano spóźni do pracy, to mu już cały dzień potem źle idzie". Za jakie dwie godziny mówi znowu do mamusi: „Czy pani pamięta, że ma iść do miasta, a potem wstawić obiad, a potem pocerować pończochy chłopców i jeszcze napisać list. Czy pani słyszy, że to już dziewiąta". — „Ach, mój Boże, mój Boże" — spostrzega się mamusia, „takem się zajęła sprzątaniem, a tu czas leci".

A po obiedzie Zegar mówi znowu: „No, chłopcy, teraz do lekcyj, a gdy tatuś wróci wieczorem, będziecie wolni i można będzie posłuchać głośnego czytania, a to takie przyjemne".

Gdy nadchodzi wieczór: „Szsz... szsz... prędko kaszkę z mlekiem dla Elżuni, a potem dobranoc, dobranoc..."

Dziewczynka uważała, że to bardzo zabawne, iż Zegar tak ślicznie umie mówić o wszystkiem.

Od tego czasu częściej jeszcze spoglądała ku Zegarowi i nasłuchiwała, czy też nie da się zrozumieć, co on mówi.

I rzeczywiście. Gdy był dzień imienin Elżuni i po południu miały przyjść dzieci do państwa Dąbrowskich, a mamusia przygotowywała w kuchni placek z serem, Elżunia usłyszała wyraźnie, jak Zegar mówił:

— To na nic się nie zda, kochanie, że ciągle patrzysz na mnie. Ja idę zawsze równym krokiem, nie mogę się pospieszyć. Tak, tak, tak to tak.

A potem wieczorem, gdy Elżunia szczęśliwa, otoczona nowemi zabawkami, które właśnie dostała tego dnia, niespokojnie spoglądała ku Zegarowi, czy też nie zaprędko powie jej „dobranoc", usłyszała znowu:

— Oho, teraz chciałabyś pewnie zatrzymać moje wskazówki? Ale mnie nie wolno stanąć, dziecinko. Tak, tak, tak to tak. Ciągle naprzód, krok za krokiem. Niezawodnie, bezustannie.

I tak coraz lepiej zaznajamiała się Elżunia z Zegarem i coraz bardziej się z nim zaprzyjaźniała. A jak każdy człowiek cieszy się, gdy słyszy głos swego przyjaciela, tak cieszyła się Elżunia, gdy mówił Zegar.

Aż pewnego razu, słuchając pięknego bicia swego przyjaciela, uczyniła nowe odrkycie. Usłyszała, że Zegar pomiędzy

głośnem buom, buom, coś jeszcze szeptał pocichu. To dźwięczało jak muzyka. Co to mogło być?

Elżunia postanowiła zapytać babunieczki. Babcia wzięła wnuczkę na kolana i leciutko gładziła jej włoski.

— Tak, Elżuniu, toś dobrze słyszała. Zegar mówi jeszcze wiele, bardzo wiele pięknych rzeczy, wyspiewuje nam całą pieśń życia; o ukochanej pracy i upragnionym wypoczynku. Ale tego, maleństwo moje, nie możesz jeszcze teraz zrozumieć.

Babunieczka patrzyła w zamyśleniu przez okno, a Elżunia spoglądała na Zegar. Wydawał jej się coraz bardziej tajemniczy i interesujący.

Nagle wpadł przez okno malusieńki promyczek słońca i skoczył prosto ku Zegarowi.

— Babciu, ach, babciu, spójrz tylko! Słońce przystało swój promień, żeby się zapytać, która godzina.

Babunieczka zaśmiała się.

— Nie, moje dziecko, słońce samo doskonale zna się na czasie. A promyczek właśnie przyniósł Zegarowi pozdrowienie od swej mamy, a także od księżyca i od gwiazdek i od obłoków.

A że Elżunia ze zddumienia rozchyliła różowe usteczka, babunieczka dodała:

— Tak, bo widzisz, kochanie, gdy zegarmistrz zrobił Zegar i miał go ochrzcić, to na rodziców chrzestnych postanowił zaprosić wszystkich tych pięknych państwa, co chodzą sobie po niebie. Każde z nich przyniosło chrześniakowi jakiś kosztowny prezent. Pani Słońce — dokładność. Panny Gwiazdki — cierpliwość. A pan Księżyc powiedział: „nauczę ciebie, jak masz spokojnie, a wytrwale ciągle posuwać naprzód swoje wskazówki. Krok za krokiem coraz dalej, co raz dalej". Panowie Obłoczki mieli dbac o to, żeby było czasem jasno, a czasem ciemno tak, jak się należy. Czy ci się to podoba?

Elżunia skinęła tylko główką.

Nie mogła jakoś dużo mówić tego wieczoru.

A gdy potem leżała w łóżeczku, poduszka wydawała jej się zupełnie niby obłoki, gwiazdki błyszczały dokoła, a księżyc zeszedł z nieba i cichutko nauczał swego chrzestnego syna:

— Cierpliwie, a pilnie, a bezustannie naprzód, ciągle naprzód.

Zegar odpowiadał tylko:

— Tak, tak, tak to tak.

Id. Bad.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NUMERU 13:

I — tablica; II — mydło; III — dzwonek.

KUNKURS

Każdy z nas ma jakieś pragnienia, każdy ma swoje marzenia... i chciałby gorąco, aby się one spełniły.

Wyobraźcie więc sobie, że oto macie w rękach czarodziejską różdżkę, która wszystko spełnia, że jesteście wszystko mogącym Czarodziejem.

Co chcielibyście wtedy móc zrobić? Czego pragniecie, aby się wam spełniło?

Odpowiedź wasza, którą nadeślecie do „Przyjaciela Dzieci" na pytanie:

„COBYM ZROBIŁ, GDYBYM BYŁ CZARODZIEJEM?"

będzie odpowiedzią na Konkurs.

Stawajcie więc do zawodów, a żywo!

Jeden tylko warunek: piszcie zupełnie szczerze.

Termin nadsyłania odpowiedzi do 15-go listopada.

Udział w Konkursie mogą wziąć wszyscy czytelnicy „Przyjaciela Dzieci".

Wraz z odpowiedzią należy nadesłać wyraźnie wypisane imię i nazwisko, wiek (koniecznie!) oraz swój adres.

Po zakończeniu Konkursu zostaną rozlosowane między uczestników trzy nagrody - pamiątki. Jakie one będą?... to teraz... tajemnica.